

# IX. NA ANTYPODACH

**„Pióro jest potężniejsze od miecza”**

**Po przyjeździe**

**W marcu 1952 statek „Orcades” ze Zbyszkiem i całą jego nową rodziną wpłynął do portu w Sydney.**



35. Obsługujący linie wschodnie R. M. S. Orcades na pocztówce wysłanej z Cejlonu.

Powitało ich grono znajomych Zbyszka i jego żony, m.in. koledzy szkolni Jasińskiego Tadeusz Haszkiewicz i Marian Ziętkiewicz. Ten ostatni proponował, by zatrzymali się w jego domu w Sydney i rozpatrzyli w sytuacji, gdzie zamieszkać i zdobyć pracę. Jednakże Jasińscy przyjęli inną propozycję: ktoś ze znajomych Marjorie oddał im do dyspozycji domek w Griffith, małym (w tamtych czasach) miasteczku położonym około 400 kilometrów w głąb lądu, na zachód od Sydney. Liczyło ono wówczas 5 tys. mieszkańców, lecz zaczęło się błyskawicznie rozrastać po wybudowaniu systemu irygacyjnego. Dzięki sztucznemu nawadnianiu pierwotnie pustynne tereny stały się oazą urodzaju i zaczęły przynosić obfite plony zbóż, warzyw i owoców. Spowodowało to napływ wielu osadników, w szczególności emigrantów z Włoch. Połowę ludności miasteczka stanowili „rdzenni” Australijczycy (biali, nie tubylcy), drugą zaś przybysze z Europy. Korzystne warunki wodne i klimatyczne umożliwiały szybki rozwój sadownictwa i rolnictwa. Na intensywnie nawadnianym obszarze o powierzchni kilku tysięcy mil kwadratowych uprawiano m. in. pomarańcze, cytryny, brzoskwinie, migdały, ryż i winogrona.

Jasińscy zaczynają życie od nowa. Mają mieszkanie, lecz muszą zdobyć środki na utrzymanie. Zbyszek nosi w kieszeni dyplom oficera marynarki handlowej, nie oznacza to jednak, że zarobkowanie na morzu nie napotyka na trudności:

*Pływam przeważnie na małych, powolnych „lajbach”, bo na większe obcokrajowcowi dostęp nie jest łatwy: związki marynarskie podnoszą wrzawę. Na mniejsze nikt się nie kwapi, więc nie przeszkadzają. Nie powiem, bym żałował tego, i tak bowiem wolę mniejsze statki. Choć praca na nich cięższa, to swoboda większa. Unikam dłuższych kontraktów, by móc wyokrętować się gdy mi tak podyktuje kaprys chwili. Cenię swobodę, jedyną wartość, dla której warto żyć.*<sup>126</sup>

Dochody Zbyszka nie wystarczają na wygodne życie. Ważną rolę mają więc spełnić zarobki jego żony. Marjorie świetnie prowadzi samochód, nawet w trudnych warunkach terenowych. Zamierza zająć się handlem obwoźnym i dostarczać artykuły pierwszej potrzeby do odległych od miasta wielkich gospodarstw.

*Za wspólne oszczędności kupiliśmy małą ciężarówkę z mieszkalną przyczepką, coś w rodzaju „wozu Drzymały”, bardzo zresztą nowoczesną i aerodynamiczną; nazywa się to tutaj karawanem. Prawdziwy domek na kółkach! W tym to karawanie Marjorie mieszka i jeździ po świecie wraz z Piotrem ...od farmy do farmy, a przestrzenie są tu ogromne, nieraz trzeba przebyć po wertepach setkę mil bezludnych, często znacznie więcej, by wreszcie dotrzeć do następnego osiedla.*<sup>127</sup>

Rodzina i bliscy w kraju wreszcie dowiadują się o jego nowej sytuacji osobistej. Zbyszek pisze z zachwytem o Marjorie:

*Jest angiolką o urodzie hiszpanki; jedna z jej pra-prababek poślubiła jeńca z Wielkiej Armady. Marjorie jest inteligentna, dowcipna, o poglądzie na świat podobnym do mojego, o podobnych zamięowaniach, przytem pracowita i pełna rozmachu, i co najważniejsze, ma złote serce i jest ogromnie przywiązana do mnie. Gdybym chciał znaleźć w niej jakieś wady, nie umiałbym, a znamy się od lat dziesięciu. Bardzo nam ze sobą dobrze, gdy jesteśmy razem.*<sup>128</sup>

Jasińscy przyzwyczajają się powoli do warunków życia, przede wszystkim do dużych upałów. Opisuje to Jasiński:

*Temperatura jest w tej chwili 108° Fahrenheita (40 °C). Siedzę w krótkich porciętach (u Was określanych jako „harcerskie”), pozatem nagi do pasa i oczywiście boso. Nade mną wentylator, przede mną oranżada z lodem, tudzież marzenia, że za sześć tygodni trochę się ochłodzi. Ale żyć można, grunt żeby się przyzwyczaić do wszystkiego, co jest inne.*<sup>129</sup>

Zbyszek odkrywa tajemnice Szóstego Kontynentu. Swoją fascynację opisał w jednym z listów:

*... włóczę się, najczęściej z Marjorie, lecz czasem sam jeden, po wnętrzu kraju, czasem aż cały miesiąc, i zbijam baki, oglądając rzeczy prastare a wciąż oszołamiające. Niezwykle pociąga mnie wnętrze kontynentu Australii, suche, wypalone, zwietrzałe, planetarne, zaludnione krajowcami, o których podręczniki mej młodości twierdziły, że są na najniższym stopniu człowieczeństwa, a których ja odkrywam dla siebie na nowo, bo są oni obdarzeni inteligencją*

<sup>126</sup> List do Marysi Koraszewskiej z dn. 17.12.1955.

<sup>127</sup> Tamże.

<sup>128</sup> Tamże.

<sup>129</sup> List do autora z dn. 8. 01.1958.

błyskotliwą i na pewno nie niższą od inteligencji białych; zasiedlone dziwnymi zwierzętami chyba z przedpotopowych czasów, stworzeniami jakich niema nigdzie poza Australią – człek przenosi się w jakąś prawieczną, niemal księżycową epokę, zatracając poczucie rzeczywistości. Ale tu, w głębie kontynentu, upały są straszliwe i noce są równie duszne; nogi puchną i zasnąć nie można. Leczą gdy kończy się upalny ląd – zaczyna się morze, Wybrzeże Pacyfiku i Wielka Rafa Korallowa, cudowne akwarium świata, gdzie w wodzie czystej jak kryształ pulsują żywe kwiaty ukwiałów; roje ryb barwniejszych niż tęcza; i pancerne zastępy różnorodnych krabów, raków, raczków, krewetek; i matematyczne natchnienia spiralne muszli szumiących echem wszechświata; to znów masa plazmy prawiecznej, meduzy, galarety ukształconej w rytmiczny, delikatny spadochron. Zdumiewające są zjawiska przyrody – jakże inne niż suche, biologiczne wścibstwo które pompowano w nas z podręczników szkolnych. Raz, w Wiktorii, doszło mnie jakby stękanie spod ziemi która zdawała się drzeć pod stopami: pękła jakby kretowiskiem, z którego, z mozolnym wysiłkiem, wyzwała się potworna glista – gruba jak kiść męczyzny, a długa na prawie cztery metry. Innym razem, na jakimś atolu, zdumiał mnie krab wspinający się na palmę; później dowiedziałem się że był to krab kokosowy, pancerny pogromca orzechów. Najbardziej zdumiewający jest jednak widok pewnych ryb o płetwach rozwiniętych jak u foki posługują się nimi pływając po mokrym piachu, a nawet pnąc się ślamazarnie na pochyle gałęzie nabrzeżnych krzewów. Kiedyś, innym razem, prawie pół dnia zastygłem w bezruchu, obserwując jak mały krabik o miękkiej, przezroczystej chitynie, przystrajał się wodorostami i gąbką. Nałożył ją na siebie jak strzechę i przykrawał powolnie lecz misternie: zaiste krawiec urodzony; gdy skończył wyglądało to jak wszystkie inne gąbki wokół, czy też może jak wszystkie inne kraby – kamuflaż był nie do rozpoznania. Przyplącałem te lekcje przyrody przypaleniem własnej skóry, poprzez koszulę i portki, i odleżałem ją w łóżku, całe dwa tygodnie. Takie oto sprawy nie przestają mnie podniecać. Tylko tu staję się znów małym chłopcem, obojętnym na groźne pomruki burz niosących się z dalekiego, ponoć cywilizowanego świata. gazet nie czytuję. Ale człowiek jest gromadnym zwierzęciem i powoli zaczyna tęsknić do stada. Rybki nie przestają mienić swych barw, ukwiały co dzień falują czułkami tak samo jak przed wiekami – uciekam od nich do miasta, do czytelnicy, do knajpy, do ludzkich plotek, zawiści i intryg, a gdy i tym się nasycę, wracam na morze, na jakiś statek, by się z kolei morzem pomęczyć i na ląd powrócić. Ląd i morze – dwie ojczyzny i żadna <sup>130</sup>

Nie traci zainteresowania dla spraw Polski i emigracji:

Kontakt ze światem utrzymuję poprzez setki listów z wszystkich kontynentów, od ludzi często nieznanych, odpisuję nie zawsze, bo sekretarki nie mam; a jeśli tak, to krótko. Prenumeruję dziewięć polskich czasopism (z Sydney, Melbourne, Adelaide, Londynu, Paryża, Mannheim-Schönau, Chicago, Toronto, Buenos Aires), aby wiedzieć jak się rodacy kłócą. Przenumeruję drugie tyle w języku angielskim: z Australii, Stanów i Anglii – aby wiedzieć, co się w świecie dzieje naprawdę. Z Polski od czasu do czasu nadchodzi paczka z drukami sprzed kilku miesięcy, czytam nie zawsze, zaledwie przeglądam, bo i druk jak maczek (a wzrok mi podupada), i zadyszane to jakieś, pełne społecznych obowiązków, nakazów, przykazów, i językiem innym niż znałem kiedyś. Z przyjemnością czytałem „Po Prostu”, no ale już oczywiście nie będę. Smutno. W zamian – czytuję polskie książki, nie tylko emigracyjne (śród których wiele świetnych), ale i krajowe. Doskonały Hłasko, dobry był Tyrmand (choć to oczywiście „uspołeczniony thriller”), świetne są dwa pierwsze tomy trylogii Bratnego (a trzeci, oczywiście, do dupy, co dwu pierwszych mimo wszystko nie psuje). Otrzymuję sporo również zbiorów wierszy z kraju, najczęściej wysyłanych przez ludzi najzupełniej mi nieznaną. Pycha twierdzi, że to od wielbicieli mego tzw. talentu, a rozum wyklóca się, że to chyba w ramach propagandy zagranicznej, kaptującej sobie krnąbrnych emigrantów

<sup>130</sup> List do Marysi Koraszewskiej z dn. 17.12.1955.

*(gdy była tu polska ekipa olimpijska, przywieźli z sobą moje nazwisko na liście ... „wybitnych osobistości w Australii”).*<sup>131</sup>

Kolejne lata okazały się pod względem finansowym znacznie mniej pomyślne. Kariera Zbyszka jako oficera marynarki urwała się. Na dodatek wpływy ze sprzedaży obwoźnej okazały się grubo mniejsze od zakładanych. Po pierwsze dlatego, że z powodu braku kapitału Jasińscy nie mogli kupić towaru od hurtowników, lecz jeździli z towarem im powierzonym i zarabiali tylko procent komisowego. Ponadto z powodu klęski szarańczy rolnictwo ponosiło wielkie straty, w związku z czym zbytnie towarów był bardzo ograniczony. Marjorie to jednak nie zniechęcało; znajdowała czas na wspólne z mężem wyprawy karawanem w celach czysto turystycznych.

Jasińscy przyjęli nową strategię – postanowili otworzyć sklepik z bielizną damską. W tym celu zakupili odpowiedni lokal, niestety w stanie kompletnej ruiny. Jasiński sam wykonał szereg adaptacji, zbudował półki sklepowe i urządził nocleg za przepierzeniem. Wprowadzili się tutaj, gdyż mieszkanie we wspólnym domu z rodziną Myry i Piotra, a na dodatek z teściową okazało się na dłuższą metę niemożliwe. Zbyszek stał się nagle podwójnym dziadkiem.

Nowa forma zarobku nie przyniosła, niestety, znacznej poprawy w finansach. Z powodu braku gotówki większość towaru brali w komis. Jasiński ma jednak drugi fach. Dzięki kursom ukończonym w Anglii zna zasady księgowości i może być doradcą podatkowym. Pisze do kraju: *Jest nam bardzo ciężko i dlatego wziąłem się do roboty biurowej, bo w sklepie przecież nie będę sprzedawać majtek i biustonoszy: nikt by tego nie kupił.*

Praca biurowa wypełnia mu czas od rana do wieczora; brak choćby jednej godziny dziennie na pracę literacką: *a to przecież jest jedyną rzeczą wartościową w moim życiu.* Klimat w Griffith nie jest korzystny dla Zbyszka z jego kłopotami sercowymi i naciśnieniem, temperatury są stale wysokie, a na dodatek położone wokół miasta pola są opylane z samolotów środkami owadobójczymi. Tymczasem mieszkanie w kącie sklepu za przepierzeniem okazało się koszmarną pomyłką, co malowniczo opisał Zbyszek:

*Po lewej stronie bar mleczny, radio gra od południa do drugiej w nocy. Po prawej pralnia chemiczna, łomot maszyn od piątej nad ranem, cała chałupa trzęsie się i wytrząsa nas z łóżka.*

Ratując swój stan psychiczny Jasińscy oglądają się za nowym lokum. Wyliczyli sobie, że praca Zbyszka jako księgowego w urzędzie finansowym oraz Marjorie w sklepiku dadzą dochody wystarczające do posiadania własnego domu. Zaciągnęli więc pożyczkę i zaplanowali, że możliwie największą część prac wykonają we własnym zakresie.

*Dalej, mamy dom, nominalnie własny, a naprawdę będący własnością Budowlanego Tow. Pożyczkowego. Czwarta część moich zarobków miesięcznych idzie na spłacanie domu, i tak będzie przez dalsze 22 lata aż spłacimy wszystko, – czyli, praktycznie biorąc, możliwe, że aż do śmierci dom będzie miał hipotekę zadłużoną. Gdy piszę „dom”, to oczywiście mam na myśli budowlę jednorodzinną, rodzaj zwany w Polsce „willą”, bo tu wszyscy mieszkają w osobnych domach.*

Zbyszek opracowuje szczegółowy plan. Obsadza parcelę drzewkami owocowymi. Sam robi wykopy pod fundament domu, choć jest to ciężka praca fizyczna. Jedno pomieszczenie ma być przeznaczone na ciemnię fotograficzną; Zbyszek robi dużo zdjęć, lecz nie oddaje ich do laboratorium, gdyż usługa jest zbyt droga. Buduje własny powiększalnik.

<sup>131</sup> List do autora z dn. 8.01.1958.

## „Pieśń” ponownie odkryta

W pierwszych latach pobytu w Australii Jasiński rzadko zabierał głos na łamach polskiej prasy emigracyjnej. Pierwszym artykułem napisanym w 1954 r. był „Pantofelek Pani Pietrowej”, dający sporo informacji o tutejszej Polonii oraz charakterystykę Australijczyków.

W 1954 r. w „Kulturze” ukazał się refleksyjny, wspomnieniowy artykuł pt. „Na obcej planecie”. Są to obrazy z lat wojny: dziwna przygoda z grożącym mu strykiem, pobyt w obozie sowieckim po 1939 r, wyjście z Warszawy po kapitulacji; wszystko to przedstawione na tle spalonej słońcem Australii.

W tym samym roku redaktorowi „Wiadomości Polskich” (był nim Roman Gronowski) udało się skłonić Jasińskiego do powrotu do pracy dziennikarskiej. Jednocześnie w „Wiadomościach” poczęły się ukazywać przedruki dawnych powstańczych wierszy; a na „pierwszy ogień” poszedł wiersz „Odmawimy”. 26 kwietnia 1954 r ukazał się numer „Wiadomości Polskich” z obszernym artykułem pt. „Zbigniew Jasiński – żołnierz i poeta Powstania Warszawskiego”. Tu po raz pierwszy został uhonorowany tym zaszczytnym tytułem. Przedruki powstańczych wierszy Jasińskiego wywołały żywą reakcję wśród czytelników polskich czasopism w Australii. Domagano się od niego większego udziału w życiu kulturalnym rodaków zamieszkałych już w tym tak odległym od Polski kontynencie. Niestety sytuacja materialna nie pozwalała mu na poświęcenie pracy literackiej większej ilości czasu.

Pół roku później (styczeń-luty 1955) ukazała się po raz pierwszy w całości na dziesięciu stronach „Pieśń o Powstaniu”. Napisana w płonącej Warszawie długo nie mogła ukazać się drukiem, gdyż potencjalni wydawcy obawiali się, że utwór zostanie zinterpretowany jako atak na zachodnich aliantów przedwojennej Polski, przynosząc tym samym korzyść propagandową wrogom demokracji. Niezależnie od tego wysuwano inne jeszcze obiekcje pod adresem odważnego wiersza.

*Przez 10 lat nikt nie chciał jej drukować po tej stronie, zgrzytano na nią zębami, wywierano nacisk, by to a tamto wykreślić, wciąż motywując że to utwór idący na rękę polityce komunistycznej! Wreszcie „Kultura” (nr 87-88 1955 r.) zamieściła całość drukiem – i okazują się, że jest to wiersz-dynamit, podczas którego ludzie nie wstydzą się płakać, rozładowuje bowiem z serc to co wszystkich boli w warszawskim powstaniu.*

Jasiński staje się sławny. Zewsząd płyną listy pełne podziwu. Utwór uzyskuje nagrodę na konkursie poetyckim w Toronto, jest entuzjastycznie przyjmowany na przedstawieniach dla Polonii w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, będąc „gwoździem programu” objazdowego Teatru Ossetyńskiego. W liście z dnia 8 stycznia 1958 r. Jasiński pisał mi z nie tłumionym zadowoleniem:

*...dwie trzecie to bałwochwalcze recenzje; wydawnictwo staraniem przyjaciół Teatru, znajdziesz tam Polę Negri obok ks. biskupa Kardasia, jakąś p. Kucińską obok Józefa Wittlina, a Kazimierza Wierzyńskiego obok pułkownika (chyba amerykańskiego?) o egzotycznym nazwisku Vali ben Jadigar, itd., itd. Otóż, Jaśku, wątpię czy „Pieśń o Powstaniu” wydrukowałby ktokolwiek w Polsce – przecież jest to moja najlepsza rzecz pisana podczas powstania.*

„Pieśń o Powstaniu” doczekała się wielu przedruków. W 1957 r. ukazała się w osobnym wydaniu w USA ze wstępem Andrzeja Pomiana. Cytuje on list Jasińskiego z dnia 17 czerwca 1957 r., w którym autor przedstawił historię powstawania wiersza. „Pieśń o Powstaniu” otrzymała nagrodę „Wiadomości Literackich” oraz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Tymczasem z kraju dochodzą niepokojące wiadomości. Poznańscy robotnicy spontanicznie występują przeciw władzy, która sama zwie się ludową. Zbyszek trzeźwo ocenia sytuację:

*Moje stanowisko jest następujące: przeżyłem krwawe powstanie warszawskie i zmądrzałem. Nigdy nie pozwoliłbym, by mnie ktokolwiek miał wciągnąć w podobnie bezmyślną krwawą awanturę. Polskę trzeba budować, a nie niszczyć. ... Ktokolwiek zaś sądzi, że Zachód wyciągnie z tego jakieś konsekwencje - ten daje tym powód, że polskiej głupocie nie ma kresu.*<sup>132</sup>

W gorącym, namiętym aż do bólu, artykule „Pomnik na rozstajach”, zamieszczonym w paryskiej „Kulturze” nr 105/106 z 1956 r. Jasiński nawiązuje do pojawiającego się w prasie krajowej nowego spojrzenia na historyczną rolę Armii Krajowej. Chodzi o ton publikacji ukazujących się w czasopiśmie „Po prostu” i „Nowa Kultura”. Padają tam wezwania do zakończenia walki politycznej, której symbolem było osławione hasło o „zapłutym karle reakcji”. Pojawia się propozycja wybudowania pomnika, który upamiętniłby braterstwo broni młodzieży z AK, tej z „Parasola” i „Zośki”, oraz z AL. Jasiński przestrzega przed zbytnim optymizmem, uważa, że obdarowanie wolnością zostało poprzedzone, jak w legendzie o Bajazecie Błyskawicy, wylupieniem oczu. Wolność, którą proponuje się obdzielić niedawnego przeciwnika, jest wolnością pozorną, gdyż celem nie jest równouprawnienie niedawnych „karłów reakcji”, a jedynie pozyskanie ich do wydajniejszej pracy.

*... to, co w tej chwili dzieje się w Kraju, zasługuje na naszą czujność. .... Ile w tym prawdy, a ile nowych podstępów?... Opuśćmy znużone powieki i milczeniem pokryjmy historię – historię twoją i moją. Zmuszmy się do wsłuchania w te słowa gorące, młode, słowa przecież naszych braci z Kraju: słowa tak pełne uznania dla pariasów AK... Wsłuchajmy się w te słowa w martwej ciszy, spłoszonej nagłym biciem serca: radujmy się że i w Kraju biją dla nas serca.” Czy oznacza to powrót z emigracji do ojczyzny?... Lecz jaka to ojczyzna? Czy wyznaczona miejscem urodzenia, granicą językową, wspólną kulturą? „A może – nie granice, nie język stanowią ojczyznę, lecz wspólne cele, jutro wspólne? .... Bracia w Kraju – stawiajcie ten pomnik! Tak, najpierw postawcie ten pomnik. A potem – poczekamy, popatrzymy, zobaczymy czy to tylko nowy bałwan, znaczący zsyłkę na dno piekła – czy też może serca ludzkie zabiły naprawdę po ludzku? ... Tymczasem zaś niech nam wolno będzie zachować jedyną postawę, jakiej nas dobry świat nauczył – Wschód i Zachód na równi: bardzo gorzką, bardzo cierpliwą i bardzo czujną nieufność. ... Ale jeśli pomnik darowanej zbrodni – zbrodni umiłowania wolności – miałby rzeczywiście pomóc braciom w Kraju i przyczynić im choć trochę wolności, niech stanie ten pomnik.*

Zbliża się pięciolecie pobytu Jasińskich w Australii.

*Do niedawna byłem tu, przez prawie 5 lat, jedynym Polakiem. Teraz jest nas dwu – przybył miastu doskonały szewc w postaci rodaka, który Polski dobrze nie pamięta, bo go w wieku szczenięcym wywieziono do Niemiec. Ożeniony z Niemką, dzieci troje, rozumieją tylko po angielsku.*

<sup>132</sup> List do Marysi Koraszewskiej z dn. 30.07.1956.

## „Jestem skłócony z całym moim pokoleniem”

Pierwszy list od Jasińskiego z Australii otrzymałem dopiero w 1958 roku. Po przedstawieniu swojej sytuacji rodzinnej i zawodowej („pracuję w poradni podatkowej, często wędrowniej”) wiele miejsca poświęcił relacjom z odległą Polską i z rodakami przebywającymi na emigracji.

*Miesięcznik „Nasza Ojczyzna” (wydawany w Warszawie tylko na eksport, dla emigracji) zamieścił cały artykuł poświęcony mojej osobie i stwierdzający że za same honoraria z przedruków mógłbym pokryć koszty podróży z Sydney do Warszawy i spowrotem. Ale nie, dziękuję. Bardzo ordynarna zachęta. Pieniądzy nie ma za dużo, ale znów nie uważam by były szczytem moich marzeń. Rzecz w tym, że nikt nigdy nie pytał mnie o zgodę na przedruk, nikt nie martwił się o prawa autorskie; postawiono mnie przed faktem dokonanym. Dlatego nie mam zamiaru pisywać dla prasy krajowej. Bo o czym? O pieskach i kotkach, tematach neutralnych, tzw. „nieszkodliwych”, które miałyby wykazać że godzę się z całą polską dzisiejszością? Nie godzę się. Jestem skłócony z całym moim pokoleniem – zarówno tam jak na obczyźnie. Wolę milczeć niżli tracić to co mi zostało, wartość ostatnią, i dlatego tym cenniejszą: prawo do wolnego myślenia, prawo do siebie samego.<sup>133</sup>*

Jasiński był skłócony z całym światem; nie tylko z przedstawicielami „reżimu warszawskiego”, ale również z paryską „Kulturą”, ze Związkiem Pisarzy Polskich na Obczyźnie, z prasą londyńską („próbuję trzymać nas za pysk”) i z Radą Naczelną Organizacji Polskich w Australii. Swój własny wieczór autorski zamienił w polityczny wiec zakończony ogólną kłótnią. „Naszą Ojczyznę” oskarżył o fałszerstwo. Ale ... na nowo nabrał ochoty do pisania.

*Po latach pisania od niechcienia, i tylko w momentach szewskiej pasji, po latach samobójczego zamknięcia się w sobie, odgrodzenia się od całego polskiego świata, którego takim jak jest dzisiaj nie rozumiem, po latach intelektualnej wegetacji w Griffith, zdawałoby się bezpłodnej – okazują się że jednak nie była tak bezpłodna (nazywają mnie „cadykiem z Griffith”). Okazują się że tysiące Polaków na całym świecie myśli dokładnie tak jak ja, czuje tak jak ja – okazuje się że liczą na mnie, i okazuje się że odnajduję w sobie nowy zryw pisarski, że mianowicie pisać warto – byle być wiernym samemu sobie, wiernym do końca i wbrew wszystkiemu i wszystkim<sup>134</sup>.*

Początkowe zauroczenie niezwykłym kontynentem, na którym Jasińscy się osiedlili, przeszło w fazę poważnych studiów dotyczących kierunków rozwojowych gospodarki australijskiej ściśle związanej z całą geografią tego regionu. W numerze (93) 12 z 18 kwietnia 1959 r. „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” ukazał się obszerny artykuł Jasińskiego pod intrygującym tytułem „Niemowlę nr 10 milionów. Australia – kraj wielkich możliwości czeka na białych przybyszów”. 10-milionowe niemowlę to właśnie 10-milionowy obywatel Australii. W stosunku do powierzchni kontynentu australijskiego liczba ta jest bardzo mała, lecz w powszechnej świadomości utrwalił się pogląd, że Australia oferuje do zamieszkania jedynie wąskie pasy przybrzeżne, cały środek to wypalona pustynia. Jasiński występuje w nowej roli – jako erudyta biegły w ekonomii, etnografii i geografii, wszystko w związku z Australią. Przedstawia ambitne plany irygacyjne, których realizacja stopniowo obejmuje coraz większe obszary pustynne i zamienia je w urodzajną krainę zdolną do produkcji zbóż, warzyw i południowych owoców, a także bydła, zapewniającego dostateczną ilość mięsa. Już wówczas stopa życiowa białej ludności osiągnęła poziom dorównujący Ameryce Północnej. W Australii mieszka się w jednorodzinnych domach, nazywanych w Polsce „willami”, zaopatrzonych w kompletne wyposażenie, w nowoczesny sprzęt. O ile kiedyś ludność rzędu 10-milionów określana była przez dawnych ekonomistów jako graniczna wielkość umożliwiająca utrzymanie wysokiej stopy życiowej, o tyle dzisiaj liczba ta może być podniesiona wielokrotnie.

<sup>133</sup> List do autora z dn. 8.01.1958.

<sup>134</sup> Tamże.

Pojawia się jednak problem etniczny, a mianowicie groźba ekspansji półmiliardowej ludności komunistycznych Chin oraz wielomilionowej ludności Indonezji. Jasiński analizując różne możliwe układy. Ocenia, że istotnie Australia stoi przed szansą dalszego rozwoju, do którego kluczem winien być szybki przyrost ludności, zarówno dzięki własnemu przyrostowi naturalnemu, jak i dalszemu napływowi białych przybyszów z innych krajów.

## Australijskie utarczki słowne

Okres pobytu w Australii był najeżony ustawicznymi wojnami pomiędzy tymi, którzy parali się piórem, lecz reprezentowali odmienne stanowiska w wielu tzw. polskich względnie lokalnie australijskich sprawach. Do najsłynniejszych tego typu historii należała zrywana co chwilę i na nowo nawiązywana przyjaźń Zbyszka z Andrzejem Chciukiem<sup>135</sup>. Obaj partnerzy lub czasowo przeciwnicy cenili się nawzajem, co nie przeszkadzało im w wygłaszaniu krytycznych uwag, które z kolei wywoływały dyskursy polemiczne.

Chciuk witał Jasińskiego jako mistrza słowa na dworcu w Melbourne wspaniałym bukietem kwiatów. W następnych jednak latach uznał go za poetę wypalonego, który nie jest zdolny do noszenia ciężarów epoki powstaniowej. Od czasu do czasu dochodziło do ponownej obustronnej sympatii kończącej się nieodmiennie każdorazowo krytyczną uwagą.

Jasiński nawiązał znajomość z wieloma wybitnymi postaciami Polonii australijskiej, w szczególności z Romanem Gronowskim oraz Lechem Paszkowskim. Odnalazł również towarzyszy broni, a wśród nich szczerze mu oddanego Mariana Bruszewskiego. W okresie dziesięciolecia 1959-1969 Jasiński publikował mało. Był to okres nękających go chorób i trudnej sytuacji materialnej.

Nadchodzi ważny dzień – po 10 latach pobytu w Australii Jasiński przyjmuje obywatelstwo przybranej ojczyzny. Odbywa się to bez jakiegokolwiek szacunku dla osób uczestniczących tej ceremonii. Jasiński jest zdegustowany. Niebawem w lokalnej gazecie ukazuje się jego artykuł pt. „Voice of Naturalized Sheep”<sup>136</sup>, będący ostrym protestem przeciwko mechanicznemu „załatwianiu” imigrantów podczas nadawania im obywatelstwa. W rezultacie wynikłej polemiki prasowej w następnych latach ceremonie te odbywały się, przynajmniej w Griffith, z właściwą oprawą.

## Bankructwo

Sukcesowi literackiemu towarzyszyły narastające trudności finansowe. Dochody ze sklepiku, który coraz bardziej przypominał komis handlujący towarami użyczonymi przez hurtowników, były minimalne. Zbyszek zwiększył ilość godzin przepracowanych w księgowości, lecz nie zapobiegło to katastrofie. Rosły długi, w oczy zaczęło zaglądać im bankructwo.

*Apatia ogarnia mnie coraz większa. Gdybym był sam, gwizdałbym, ale sęk w tym, że już nie jesteśmy młodzi, i co poczniemy z sobą, zwłaszcza Marjorie, gdy nie stanie ani domu, ani możliwości do uczciwych zarobków (bo przecież lwia część poszłaby w ręce powiernika masy upadłościowej, na spłacanie dłużników - trwałoby to całe lata...)*<sup>137</sup>.

<sup>135</sup> Tadeusz Chciuk (1920-1978) – pisarz, poeta i dziennikarz emigracyjny. Wieloletni współpracownik „Wiadomości Polskich” (Sydney) i „Tygodnika Polskiego” (Melbourne).

<sup>136</sup> „The Riverina Advocate” z dn. 14.04.1960.

<sup>137</sup> List z dn. 14.12.1958.



W liście z 28 stycznia 1959 r. Zbyszek pisze o swoich długach: 5 tysięcy funtów. W tym samym czasie otrzymał nagrodę Związku Pisarzy na Obczyźnie w wysokości ...100 dolarów.

Pomimo zastosowania znacznych oszczędności w codziennych wydatkach nie udało się zapobiec katastrofie. Bankructwo zostało ogłoszone (list z 30 marca 1959), czeka ich licytacja, tracą sklepik i dom. Zbyszkowi żal tylko książek. Nadal pracuje w biurze. Marjorie też ma zająć się pracą biurową, jednak plany spaliły na panewce i ostatecznie zajęła się naprawą starej garderoby. Żadnych liczących się dochodów nie przynosiła praca literacka Zbyszka. Redakcje polskich czasopism nie płać wystarczająco za artykuły, zresztą sam Zbyszek nie może już pracować nocą, bo zdrowie nie pozwala. Na dodatek Marjorie rozchorowała się na kręgosłup (przesunięcie dysku) i spędziła sporo czasu w szpitalu, co spowodowało kolejne duże wydatki.

Jasiński opisywał to wszystko w listach do rodziny w Polsce. Rozważano nawet możliwość przyjazdu Jasińskich do kraju, lecz okazało się to niemożliwe z dwóch powodów; po pierwsze nie posiadali odpowiedniej sumy na podróż, a po wtóre prawodawstwo australijskie zabraniało opuszczania kraju osobom, na których ciążyło zadłużenie po ogłoszonym bankructwie. *Pozostają mi same sentymenty, powrót do Kraju mego dzieciństwa, mej młodości i mego męstwa - do mojego Kraju ...* – podsumował w liście do rodziny z dnia 8 sierpnia 1960 r. ze smutkiem Zbyszek.

Następne lata to szamotanina związana ze stanem finansów i coraz bardziej pogarszającym się stanem zdrowia, co było niewątpliwie związane z trudnymi warunkami klimatycznymi. W okresie do roku 1969 przeszedł 3 zawały.

*Przez szereg lat przed tym miejscowe konowały w Griffith wmawiały we mnie astmę, która rzeczywiście dusiła mię, spać nie dając i przyczyniając bóleści tak ciężkich, że raz (5 lat temu, w wigilię swych 58-tych urodzin (1966)) zażyłem przeszło setkę tabletek nasennych, aby się po prostu raz na zawsze wyspać. Została mi z tego zdrewniała żyła, przez którą przez tydzień pompowano we mnie glukozę. Astma ustąpiła nieco, by znowu powrócić. W sierpniu 1969, w dwa dni po wzięciu udziału w 25-leciu wybuchu powstania („gość honorowy”), ów trzeci zawał serca, wyciągnięto mię z trumny za odstające uszy. 7 tygodni w sydneyjskim szpitalu, okazało się, że nie miałem żadnej astmy, lecz skrzep krwi w lewym płucu, wielki jak wątroba. Po kuracji (z kieliszkiem koniaku 3 razy dziennie) szpitalnej, puszczono mię w świat z dwoma zastrzeżeniami. Primo, że nie wezmę do ust ani jednego papierosa; secundo, że 3 razy dziennie, prócz pigułek będę zażywał koniak. Z papierosami było trudno, po 8 miesiącach braku nikotyny wróciłem do niej skwapliwie – co zaś do koniaku, to cenne to lekarstwo zażywam jak najsumienniejsz.*<sup>138</sup>

## Domek w Bermagui

Po latach braku stabilizacji sytuacja finansowa Jasińskich zaczęła się lekko poprawiać. Zbyszek po pobycie w szpitalu, jako długoletni pracownik agencji podatkowej otrzymał na początku lat siedemdziesiątych rentę inwalidzką. Marjorie po osiągnięciu wieku 60 lat otrzymała emeryturę zgodnie z obowiązującym w Australii socjalnym przywilejem. Nadarzyła się im okazja nabycia domku w nadmorskiej miejscowości Bermagui. Domek był obciążony hipoteką i właściciel był skłonny go oddać za stosunkowo niewielką sumę, lecz po skrupulatnym obliczeniu posiadanego kapitału okazało się, że brak im około 1/5 potrzebnej sumy. I wtedy los, zwykle kpiący z Jasińskiego, raz okazał się łaskawy: w Anglii zmarł 90-letni wujek Marjorie, a ona okazała się być jedyną spadkobierczynią. Do własnego domu małżonkowie wprowadzili się w marcu 1971, z ulgą żegnając morderczy klimat Griffith. Opisał to barwnie Zbyszek w liście do Sławy z 22 marca 1972 r. :

<sup>138</sup> List do Sławy Stella-Sawickiej z dn. 22.03.1972.

*Bermagui od piekła „buszu” oddzielone jest łańcuchem gór, ciągnących się równolegle do wybrzeża Pacyfiku. Klimat tu rzeński, ożywczy, nie ma ani suchych upałów za dnia, ani szronu w nocy (zwykle zjawisko w Griffith), ani burz piaskowych, deszcze stosunkowo rzadkie, ale dość jest wilgoci atmosferycznej, bynajmniej nie dusznej jak np. w Sydney czy Melbourne, lecz życiodajnej, rzeźwionej oceaniczną bryzą. Nie, Pacyfik nie przypomina mi Bałtyku, ani żadnego z mórz europejskich. Czasem, gdy na ekranie telewizyjnym widzimy jakieś wieści np. z Anglii, z nieodzownymi falami kanału La Manche, przecież groźnego, uśmiechamy się protekcyjnie: „nasze” fale sięgają tu kilku mil (angielskich) długości, grzmocą o skały, tryskając kilka pieter w gore; przyzwyczailem się już do nieustannego ich łomotu, ale w nocy słysząc je w ciszy uśpionego miasteczka, i człek świadom jest dygotu ziemi, stękającej od nieustannego ataku oceanu.*

Zbyszek poświęca wiele czasu na rozbudowę swojej posiadłości. Opisuje budowę szopy, w której będzie również pracownia fotograficzna; ma dużo negatywów, planuje sam robić powiększenia. Spokojne życie Jasińskich tylko niekiedy bywało zakłócanie przez wydarzenia zewnętrzne. W 1974 r. Australia przeżywała klęskę powodzi:

*... olbrzymie połacie kraju zalane, poziom wody sięga 40 stop (przeszło 12 metrów) ponad zwykłą miarę, - cale miasta pod woda, tyle że im dachy widać, szkody niesłychane. Nasz dom stoi na wzgórzu, zresztą, powódź ominęła Bermagui, ale ciągle ulewne deszczy zmieniały nasz ogród na bagnisko. Niemal wszystko wygniło i Marjorie będzie musiała zaczynać uprawę grządek od początku. Sił jej na starość ubywa, radzę jej więc, aby przestała grunt kopać bez korzyści widocznej, lepiej obsadzić ogródek krzewami, byłoby mniej pracy. Najlepsze byłyby drzewa mangrowe, bo te lubią grzęzawiska. Tutejsza rzeka nasza (tej samej nazwy tj. Bermagui), która w środku miasteczka wpada do Pacyfiku, po obu stronach ma mangrowce - podczas przyływów i odpływów w połowie zanurzone w wodzie. Chodzę tam czasem, by z gałęzi obierać ostrygi, które osadzają się na gałęziach całymi koloniami. My paskudztwa tego nie jadamy, ale gdy czasem zjawiają się u nas niespodziewani goście z Sydney i Melbourne, ładujemy w nich ostrygi, aż do niestrawności.*

## Pożeganie

Życie w Bermagui układa się sielsko i romantycznie. Jasińscy otoczyli się całą menażerią należących do nich zwierząt.

*Kangura mieliśmy nie jednego, bo kilka, jednego po drugim. Niestety zawsze znalazł się „myśliwy”, który stworzenie ustrzelił, daliśmy więc spokój. Żona ma jednak ptaszarnię z papużkami parzystymi, mamy też psa labradora, wielki jak kuc, oraz trzy koty..... Pies i wszystkie koty co dzień chodzą ze mną na ryby.... Psa trzeba pilnować, aby nie ukradł mi przynęty, bo okropnie łasy jest na krewetki. Zresztą, umie sam w wodzie dobrać się do kraba spod kamienia, i natychmiast odgryza mu szczypcę, zanim skorupiaka schrupie. Czasem włóczymy się po plaży, ja podczas przyglądając się różnym stworzonkom, zostawionym przez morze w sadzaweczkach skalnych, małym rybkom tęczowym, konikom morskim, nieśmiałym ośmiorniczkom, a żona niezmordowanie zbierając muszle, których jest tu moc wielka. Ma ich chyba już kilka tysięcy różnorakich. Ja czasem, gdy mi siedzenie w domu dokuczy, wyprawiam się kutrem na morze na dzień lub dwa, zaprzyjaźniłem się tu bowiem z jednym z rybaków. Łowią przeważnie rekiny (sprzedają je pod inną nazwą, bo nikt by tego nie kupił i nie jadł), oraz tuńczyki.*

List do Sławy z 22 marca 1972 r. opowiada o tkwiących mocno w pamięci wydarzeniach z odległej Polski:

*Dzisiaj, po przeszło 2,5 latach od pobytu w sydneyjskim szpitalu, czuje się znów dobrze, zadyszka rozwiała się, sporo czasu spędzam w ruchu (łowiąc „rybki”, jak to określiłaś), jestem opalony, czasu na potrzeby osobiste mam sporo, niejedną noc zarywam się przy teleskopie, a nostalgia do północnej półkuli gwiazdnej nad ziemskim globem sprawia, że często lufę kieruję wprost w gwiazdę Wielkiej Niedźwiedzicy, jedyną jaką dostrzec tu można z całej konstelacji. Westchnienie więc, do łóżka jednak iść trzeba, ale spać w takie noce, bywa, trudno: z Wielką Niedźwiedzicą wraca Warszawa, marzenia gorączkowe, fragmenty rozmów, spojrzeń, uśmiechów, gestów, zdarzeń niezapomnianych. Przeżywam to wtedy ponownie, próbując to sobie odtworzyć, i wtedy znów jestem młody, znów w kochanej, gorącej, wspaniałej Warszawie. Dziwne, niektóre fragmenty olśniewają mię nagle jakimś szczególnie oderwanym: raz np. ujrzałem się w windzie, w połowie ruchu zatrzymanej – gdzie to było? skąd ta winda? i widzę własną twarz odbitą w lustrze windy. I olśnienie: ach, to było na Hożej, tam gdzie mieszkałem z Ziutą! Spotkałem ją w Londynie, jechała do Kanady. Prosiła, by nikomu nie mówić, że jest Żydówką. Dziwne, jak jedno skojarzenie przywodzi na pamięć inne, też na pozór bez związku. Lustro w windzie na Hożej, i lustro szafy w mieszkaniu przy Nowogrodzkiej, patrzę w nie i widzę się z boku, dlaczego tak właśnie? I małe ręczne lustreczko, trzymam je w ręce, widzę w nim nie twarz własną, lecz jakiś kształt absorbujący mię bez reszty. Nie, nie umiem tego określić, ot majaczenia, lustra z obrazami przeszłości. Ty, Sławko, która w lustro spoglądasz tylko wtedy, gdy sobie liczko pudrujesz, pomyślisz, żem zdziwaczał. Wybacz bzdury niniejsze, trzaskam na maszynie, rejestrując po prostu chaotyczny bieg myśli, może da Ci to jednak obraz nostalgii Zbyszka-emigranta, nostalgii, która, zamiast patriotycznych uniesień, wywołuje majaki zgoła surrealistyczne.*

W końcu 1977 r. Zbyszkowi zaczyna dokuczać choroba oczu, najpierw utrudniająca, a później uniemożliwiająca czytanie:

*Atofia siatkówek oczu uniemożliwia mi wszelką lekturę (a więc i listów). Mieszkając daleko od polskich środowisk – z polskim słowem pisanym straciłem kontakt. Nawet swego własnego tekstu, na remingtonie wystukanego na ślepo, nie umiem już odczytać.... Korespondentów moich, zatem – jeśli, nie zrażeni moim milczeniem, zechcieliby może znów do mnie napisać – proszę, aby list był bardzo, bardzo krótki, merytoryczny. Proszę nie rozżalać się nade mną... Samopoczucie mam świetne, humoru nie straciłem. Przy najbliższym spotkaniu (oby rychłym) ręka sama trafi mi do kieliszka, zwłaszcza iż oboczne pole widzenia wzrok mój wciąż rejestruje swobodnie, i tylko centralna „fovea” siatkówek zastrajkowała na amen.*

Choć nie uczestniczył już w życiu polskiej emigracji, nie został przez nią zapomniany. Oto jego własna relacja:

*26 sierpnia 1978 roku rozgłośnia polska Radia Wolna Europa nadała audycję pt. „Najpopularniejszy poeta Powstania Warszawskiego”, w opracowaniu dra L. Kielanowskiego. Nadesłana mi taśma zawierała wzruszające życzenia polskiej ekipy R.W.E.*

139

W październiku 1979 r. Jasiński obchodził półwiecze pracy pisarskiej, za początek której uważał publikację noweli „Sztorm”. Z tej okazji urządzono dla niego bankiet, na którym został uhonorowany jako poeta Powstania Warszawskiego. W numerze 393 „Kultury” (czerwiec 1980) w artykule „Poeta

Powstania Warszawskiego” Jerzy Grot-Kwaśniewski opisał przebieg całej uroczystości. Na końcu swego artykułu podał do wiadomości, że Koło AK w Sydney: *zamierza przyczynić się do wydania książki Jasińskiego pt. „Krwią i rymem – dokumenty powstańcze”*, gdzie byłyby zebrane jego poezje z roku 1944. Do publikacji sam autor przeznaczył następujące utwory: trzy krótkie wiersze nadane przez radiostację „Błyskawica”, wiersz pt. „Sumienie świata”, wydrukowany po raz pierwszy w „Wiadomościach Polskich” (Australia) 28 lipca 1957 r., poemat „Pieśń o Powstaniu” oraz napisany w obozie jenieckim Sandbostel wiersz „Poprzez druty”, opublikowany w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” (Londyn) 25 sierpnia 1945 r. Do książki, która ukazała się dopiero 5 lat po śmierci poety, dołączono jeszcze odnaleziony w archiwum Jasińskiego wiersz pt. „Maszerowali”.



Bermagui, Wielkanoc 1983. Od lewej stoją Ludwik Jasiński, Zbigniew Jasiński i jego żona Marjorie.

W ostatnich latach życia Jasiński nawiązał znajomość (która wkrótce zamieniła się w przyjaźń) z osobą o blisko brzmiącym nazwisku, a mianowicie z Ludwikiem Jasińskim. Ludwik Jasiński był z kolei dalekim krewnym rodziny Sawickich: w powstaniu styczniowym brali udział dwaj bracia Sawiccy, pierwszy z nich to doktor Jan, od którego zaczęła się gałąź Stella-Sawickich, a drugi to Ludwik Sawicki, generał wojsk powstańczych. Być może właśnie zbieżność nazwiska i ewentualność dalekiego pokrewieństwa spowodowała serdeczne tony w stosunkach Zbyszka i Ludwika. Jak wynika z zachowanej korespondencji, wzajemne odwiedziny następowały dość często. Ponieważ w tym czasie choroba oczu uniemożliwiała Zbyszce czytanie, żona Ludwika Anna nagrywała dla Zbyszka potrzebne mu teksty na taśmie magnetofonowej. Zachowały się liczne zdjęcia, przedstawiające obu Jasińskich-Jasińskich z małżonkami oraz ich domowymi psami. Były to być może ostatnie spokojne i beztrudne momenty.

Zbigniew Jasiński zmarł 5 lutego 1984 r. Pochowany został na polskim cmentarzu w Rookwood w Sydney, gdzie koledzy z AK pomogli Marjorie w ufundowaniu nagrobka z napisami po polsku, ale z jednym zdaniem angielskim: *The pen is mightier than the sword.*

„Pióro jest potężniejsze od miecza”



37. Grób Zbigniewa Jasińskiego na cmentarzu w Sydney.

**JAN LISSOWSKI**

**Fotografia grobu Zbigniewa Jasińskiego w Rookwod, w Sydney, pochodzi z książki Mariana Bruszewskiego pt. „Krwia i rymem” wydanej staraniem oddziału Koła byłych żołnierzy Armii Krajowej w Nowej Południowej Walii oraz oddziału Fundacji Armii Krajowej, Sydney 1989.**